

Przekłady

Paul Ricoeur

Pisanie historii a przedstawienie przeszłości*

Pamięci François Furet

Czytelnik oczekuje od autora tekstu historycznego, by ten zaproponował mu „prawdziwą opowieść”, a nie fikcję. Powstaje więc pytanie, czy, jak i w jakiej mierze zapis historyczny uhonoruje ów milczący pakt lektury. Tak więc problem, który poddaję waszej uwadze i dyskusji, to problem przedstawienia przeszłości w historii.

Chcę zacząć od stwierdzenia, że problem ten przede wszystkim dotyczy nie historii, lecz pamięci, z którą historia łączy się w pewien sposób; rozwinę ten wątek nieco później. Jeśli bronię tu przekonania, że kwestia reprezentacji pamięciowej jest wcześniejsza od problemu reprezentacji w historii, to nie dlatego, że sytuuję się — w dzisiejszej epoce wspomnień — po stronie adwokatów pamięci przeciwko obrońcom historii (intencja ta jest mi zupełnie obca), lecz dlatego, że problem przedstawienia, trudny dla historyka, jest już obecny na płaszczyźnie pamięci, gdzie jego rozstrzygnięcie jest na tyle niepewne i nieostateczne, że wydaje się niemożliwe, by stosować je na gruncie historii. W ten sposób historia dziedziczy zagadnienie, które w jakiejś mierze sytuuje się u jej podstaw — na płaszczyźnie pamięci i zapomnienia — zaś jej specyficzne trudności dołączają się jedynie do trudności właściwych doświadczeniu pamięci.

Nie jest prawdą, że problem przedstawienia pamięci po raz pierwszy został sformułowany przez św. Augustyna. Choć Augustyn rzeczywiście w księgach X i XI *Wyznań* jest inicjatorem świeckich rozważań na temat stosunku przeszłości rzeczy, które pamiętamy, teraźniejszości tego, co postrzegamy i przyszłości rzeczy, których się spodziewamy — to w istocie Platon i Arystoteles po raz pierwszy zadziwili się paradoksem, skrywającym się w pojęciu rzeczy minionych: *praeterita* w języku łacińskim. W klasycznej grece problem ten określa się słowem *eikon*; pojawia się on jako aporia, czyli zagadnienie trudne do rozstrzygnięcia.

* Wykład wygłoszony na konferencji „Marc Bloch”, Berlin 2000, drukowany w „Annales. Histoire, Sciences Sociales” 2000. Przekład publikujemy za zgodą Redakcji tego czasopisma.

Aporia jest tu podwójna. To przede wszystkim zagadka obrazu, który jawi się umysłowi jako coś, co jest obecne, i zarazem jest przedstawieniem rzeczy nieobecnej. Problem ten stawia Sokrates w *Teajecie*, próbując odpowiedzieć na trudne pytanie: czy można nauczyć się czegoś i nie być tego świadomym? „Co ty mówisz, Sokratesie, odpowiada Teajtet, przecież to bzdura”¹. Jest to zagadka obecności w obrazie rzeczy nieobecnej. Ale to tylko część wspólnej tajemnicy fantazji i pamięci; brakuje tu jeszcze temporalnego oznaczenia tego, co przedtem, które z zasady odróżnia pamięć od fantazji.

Analizę owej szczególnej cechy wspomnienia zawdzięczamy Arystotelesowi, ściśle biorąc — jego małemu *Traktatowi*, który dotarł do nas w łacińskim przekładzie jako *De memoria et reminiscencia* (w *Parva naturalia*). Jak wskazuje tytuł, język grecki ma dwa słowa oznaczające pamięć: *mneme* i *anamnesis*. To oddzielenie pamięci w sensie właściwym i przypomnienia (*reminiscence*) — prostej obecności spontanicznie pojawiającego się wspomnienia w umyśle i jego pracochłonnych i nie zawsze owocnych poszukiwań — pozwala dostrzec, jak owo przedtem (*l'auparavant*) — *proteron* — zaznacza się w rzeczy minionej. „Pamięć — pisze Arystoteles — jest tym, co wiąże się z czasem” (dokładnie: tym, co się zdarzyło, *tou genomenou*). Mówiąc jeszcze wyraźniej: przypominamy sobie obywając się „bez rzeczy”, lecz „z czasem”. W przypadku pamięci, w odróżnieniu od fantazji, znak tego, co przedtem i co potem wpisany jest w rzecz, którą sobie przypominamy. Ów znak nie likwiduje pierwszej zagadki — tajemnicy obecności tego, co nieobecne — lecz w jakimś sensie rozciąga ją w czasie. Podobnie jak Sokrates, Arystoteles wie, że obraz, np. namalowany obraz zwierzęcia, składa się jednocześnie z dwóch rzeczy: „jest on samym obrazem i nadto przedstawieniem innej rzeczy” (*allou phantasma*); krótko mówiąc, obraz jest zarazem aktualnym zapisem i znakiem czegoś innego. Właśnie owa odmiennosc tego, co inne, naznaczona czasem, należy do pola pamięci. W tym miejscu dochodzi do głosu inny wyraz dotyczący pamięci — *anamnesis*. Wspom-

¹ „Sokrates: Ale zobacz no i to coś innego, co nadchodzi i przypatrz się, jak sobie z tym dajemy rady. — Teajtet: Co takiego niby? — Sokrates: Coś w tym oto rodzaju: gdyby ktoś zapytał, czy to możliwe, żeby ktoś, nauczywszy się czegoś i mając to jeszcze zachowane w pamięci, nie miał wiedzy o tym, co pamięta, wtedy gdy pamięta. Ja przydługro mówię, zdaje się, a chciałbym się zapytać, czy człowiek, który się nauczył czegoś i pamięta to jeszcze, wiedzy o tym nie posiada? — Teajtet: To by dziwoląg był, to, co mówisz” (Platon, *Teajtet*, tłum. W. Witwicki, Warszawa 1959, 163 D). Odpowiedź Teajteta prowokuje inne, ostrzejsze pytanie: „Bo czy myślisz, że zgodziłby się z tobą ktokolwiek, że gdy ktoś posiada pamięć stanu dawniej doznanego, to ona jest takim samym stanem jak tamten poprzednio doznany, a dziś już nie doznawany? Daleko do tego” (tamże 166 B). Trudna kwestia, wciągająca jak się później okaże, całą tę problematykę w pułapkę; polega ona na tym, że odwołujemy się do kategorii podobieństwa, by rozstrzygnąć zagadkę obecności tego, co nieobecne — wspólną zagadkę wyobraźni i pamięci, jak podkreśla to słowo *eikon*. Nie mam zamiaru iść śladem uczestników tego dialogu w proponowanym przeze mnie rozwiązaniu; nie jestem zwolennikiem modelu odcisku w masie wosku, który tylko podwaja całą trudność, ponieważ wszystkie ślady woskowe są aktualne i obecne, traktujemy je zaś jak znaki pewnej przyczyny, czyli zdarzenia, które spowodowało owe ślady.

nienie rzeczy nie zawsze jest nam dane, nie zdarza się też często: należy go dopiero szukać. Owo poszukiwanie to anamneza, przypominanie sobie, skupienie, przywołanie. Do zasadniczego pytania: „co?”, które dotyczy treści wspomnienia, dodajemy odtąd pytanie: „w jaki sposób?”, które aktywizuje „siłę poszukiwania” — już to jako siłę mechaniczną, jak później proponowali asocjacyoniści, już to jako władzę rozumu. W czasach nowożytnych większość znanych procedur zapamiętywania albo zastała objęta teorią asocjacji, albo odnajdujemy je u Bergsona, opisane jako wysiłek przypominania.

Rozróżniwszy aktualną obecność wspomnienia w naszej świadomości i poszukiwanie wspomnienia, określiliśmy w ten sposób ogólne ramy fenomenologii pamięci. Od razu też czujemy, jak istotny jest tu problem zaufania: jeśli to, co zapamiętane, jest obrazem, jak nie pomylić go z fikcją lub halucynacją? Tu właśnie, niejako na styku owego zabiegu przejścia od pamięci do historii, możemy mówić o zaufaniu do doświadczenia, jako doświadczenia *princeps* w tej dziedzinie; mam na myśli doświadczenie właściwego rozpoznania. Przybiera ono postać deklaracji: tak, to przecież on, to przecież ona! Nie, to nie żadna fantazja ani złudzenie. Co nam daje tę pewność? Nic, poza tym, że jawi się przed nami *eikon*, czyli obraz tego, co nieobecne, pod postacią czasową tego, co przeszłe. Czy nie mylimy się? Czy ktoś nas nie wprowadza w błąd? Z pewnością często tak się zdarza. Lecz — utrzymuję to z całą mocą — ów obraz-wspomnienie jest przed nami właśnie w momencie, kiedy coś rozpoznajemy. Czy jednak jesteśmy pewni, że coś się rzeczywiście zdarzyło w takim kształcie, w jakim przedstawia się nam jako wspomnienie w naszym umyśle? Oto podstawowa trudność. Tu właśnie zagadnienie pamięci wchodzi na niebezpieczną drogę podobieństwa, czyli *mimesis*, której nigdy do końca nie dało się odróżnić, z jednej strony, od fantazmu, z drugiej zaś, od obrazu-kopii, bez utraty w obu wypadkach poczucia związku adekwatności bądź zgodności między obrazem-wspomnieniem a rzeczą, którą pamiętamy; natura tego związku i jego epistemologiczny status stanowią istotę niniejszych rozważań. Ich podstawowy przedmiot, to wierność; wierność pamięci, którą nieco później postaramy się skonfrontować z roszczeniem historycznej prawdy — w ich niekończącym się dialektycznym związku.

Zanim zajmę się tym, co stanowi zasadniczą treść mego wystąpienia, czyli przedstawieniem przeszłości w historycznym zapisie, chciałbym dorzucić jeszcze dwa uzupełnienia do mojego ogólnego obrazu problematyki pamięci; oba są istotne dla przechodzenia od pamięci do historii.

Przede wszystkim narzuca się pytanie o podmiot pamięci: kto sobie przypomina? Kto dokonuje aktu przypominania sobie, wyobrażając sobie rzeczy minionie? Aż się prosi o szybką odpowiedź: ja, tylko ja. Kwestia staje się bardzo istotna od momentu pojawienia się w socjologii kategorii pamięci zbiorowej, dzięki słynnemu dziełu Maurice Halbwachsa *Pamięć zbiorowa*. Wysuwa on dosyć skrajną tezę głoszącą, że pamięć indywidualna jest jedynie odgałęzieniem

czy enklawą pamięci zbiorowej. Tymczasem idei pamięci zbiorowej stale zarzuca się conceptualną niespójność. Była ona źle przyjęta także z tego powodu, że wydawała się wspierać hegemoniczne roszczenia socjologii w stosunku do historii. Osobiście wydaje mi się po pewnym zastanowieniu, że pamięć, rozumiana jako obecność w świadomości jakiejś rzeczy istniejącej w przeszłości oraz jako wysiłek jej przywołania, może być przypisana każdej osobie w sensie gramatycznym: mnie, jemu, jej, nam, im itd. Owo zwielokrotnione przypisanie wspomnienia nie różni się, moim zdaniem, od wielokrotnego przypisywania różnym ludziom dowolnej myśli, uczucia czy namiętności. Teza o zwielokrotnionym przypisywaniu pewnych stanów ducha stanowi istotny problem w przypadku pamięci, ponieważ kwestia tożsamości osobowej — pojęcie samego siebie — pojawia się tu w wyjątkowo wyraźnym stopniu w stosunku do innych faktów psychicznych — tak, jak gdyby przyswojenie czegoś przez moje własne „ja” było wyłącznym przywilejem pamięci. Nie sądzę jednak, by warto było zrażać się podobnym argumentem. W istocie dopiero po długich badaniach przypisywanych kierunkowi, który można by nazwać szkołą wewnętrznego oglądu, udało się utożsamić ideę pamięci z ideą samego siebie. Tu właśnie widzimy znaczenie Augustyna, który odnalazł pamięć w głębi naszej jaźni jako ślad wyznania i spowiedzi. John Locke poszedł jeszcze dalej w owej subiektywizacji, czyniąc z pamięci kryterium tożsamości osobowej: pamięć to to, co prawomocnie należy do mnie samego, *my own*. Decydujący krok zrobił Husserl, jednocząc pamięć z naszą wewnętrzną świadomością czasu. Pamięć jest więc tylko, jak wcześniej odkrył Locke, rozciągniętą w czasie moją własną refleksją, dotyczącą mnie samego. Heidegger wreszcie umieścił doświadczenie pamięci w jego czasowości, włączony w obszar bytu-ku-śmierci, jako doświadczenie znaczone piętnem tego, co niezastępowalne i niekomunikowalne. Ostatecznie, wyłączne przypisanie pamięci doświadczeniu samego siebie wydaje się skutkiem wzrastającej subiektywizacji, której rezultatem staje się to, że problem podmiotu pamięci okazuje się ważniejszy niż problem jej przedmiotu².

Zważywszy starannie argumenty i kontrargumenty, umacniam się w przeświadczeniu, że jest możliwe zwielokrotnione przypisywanie wspomnień różnym podmiotom gramatycznym. Znalazłem poparcie tej tezy w dociekaniach filozofii analitycznej, dotyczących idei przypisywania ludziom stanów psychicznych w ogólności. Opierają się one na założeniu, że przypisywanie pewnego aktu lub stanu psychicznego sobie samemu jest z zasady skorelowane z jednoczesnym przypisywaniem podobnych stanów innym ludziom. Postępujemy tak, na przykład, snując opowieść w trzeciej osobie: „nagle przypomniał (lub przypom-

² Moim zdaniem, Husserla nie obejmuje ten zarzut: mam na myśli wspaniałą analizę *Erinnerung* w XXIII tomie *Husserlianów*, gdzie *Erinnerung* konkuruje z *Bild*, *Phantasie* i *Vorstellung*. tą różnaitością re-prezentacji, z zasady różnych od prostych prezentacji, których modelem jest percepcja. Fenomenologia w tym sensie nie jest bezbronna wobec roszczeń socjologii, by stać się jedynym obszarem badań pamięci zbiorowej.

niała) sobie ową scenę z przeszłości”. To, że przypisanie czegoś sobie samemu przybiera formę zawłaszczenia i że przypisywanie tego samego innym jest jedynie kwestią pewnych domniemań, nie powinno budzić wątpliwości, choć wymaga starannej analizy. Owa asymetria w przypisywaniu sobie samemu i innym ludziom pewnych stanów jest jednak całkowicie zgodna z faktem, że przypisujemy zjawisko pamięci wielu podmiotom gramatycznym.

Jest to stanowisko istotne dla historyka, który bez skrupułów może sobie wyobrazić pamięć indywidualną i pamięć zbiorową, zachodzące często na siebie, podobnie jak podczas świąt pokrywają się ze sobą indywidualne i zbiorowe akty upamiętnienia zdarzeń i inne uroczystości. Szczegóły teorii przypisywania mogą być w jakiejś mierze istotne dla historii także z tego względu, że pojawia się tu problem przypisywania pewnych cech podmiotom społecznym na podstawie znaków pośrednich, które Carlo Ginzburg analizuje w ramach tzw. modelu indykacyjnego.

Do powyższego uzupełnienia dorzucę następne, które jeszcze dokładniej pokaże przejście od perspektywy pamięci do analiz historycznych. Wróćmy do podziału problemu pamięci na statykę wspomnienia, jako aktualnie obecnego obrazu rzeczy nieobecnej, która zaistniała dawniej, i dynamikę pamięci, wyrażającą się w przywoływaniu rzeczy zapamiętanej. Owo przywoływanie jest procesem złożonym o niepewnym skutku. Jego sukces polega na rozpoznaniu wspomnienia, które dla Bergsona w jego *Materii i pamięci* jest doświadczeniem *princeps*; problem ożywienia obrazów przeszłości staje się osią organizującą bezcenne rozważania w tym najważniejszym dziele Bergsona, które być może odłożyliśmy na bok zbyt pośpiesznie lub zbyt łatwo. Tak więc, jeśli zważyć, ile trudów kosztowało nas przywołanie wspomnienia, samo rozpoznanie wydaje się małym olśnieniem uszczęśliwionej pamięci. Owe trudy, które tworzą właściwą pragmatykę pamięci, można podzielić na trzy rodzaje: pamięć napotykalną przeszkody, pamięć manipulowana i pamięć przymuszona. Co do pamięci, która napotyka przeszkody, mam tu jedynie na myśli teksty Freuda na temat reakcji stłumienia, oporu, powtarzania, którym Freud przeciwstawia proces przypominania; dla właściwej ilustracji wyobraźmy sobie uczucie żałoby towarzyszące wielkiej stracie. W przypadku pamięci manipulowanej trzeba by wskazać wspólne punkty problemu pamięci z problemem tożsamości; dostrzegamy je opisując różnorodne sposoby fałszowania pamięci za pośrednictwem opowieści, poprzez jej podkreślenia i retusze, akcenty i przemilczenia. Wreszcie pamięć przymuszona: tu zwolnijmy tempo. Chcę zwrócić uwagę na to, jak istotną jest sprawą nie wpaść w pułapkę obowiązku pamiętania. Dlaczego? Ponieważ słowo „obowiązek” zakłada pewien imperatyw, nakaz dotyczący przyszłości, u którego źródeł mamy często jedynie napomnienie przekazywane przez kolejne generacje: „Przekażesz swojemu synowi, że...”. Także z tego względu, że nie możemy wyrazić w czasie przyszłym aktu zapamiętywania, a więc retrospekcji, nie burząc jednocześnie istoty procesu anamnezy i nie popadając — zaryzykujemy to

słowo — w manipulację. Wreszcie i przede wszystkim, ponieważ obowiązek pamiętania jest dziś chętnie traktowany jako element elektryzujący krytyczną pracę historyka; ryzykuje się w ten sposób skupienie pamięci określonej zbiorowości historycznej na jej szczególnych tragediach, utrwalenie jej poczucia poniesionych ofiar i zakłócenia jej zmysłu sprawiedliwości i słuszności. Dlatego też wolę mówić o pracy pamięci zamiast o obowiązku pamięci.

Pragmatyka pamięci przekazuje kwestie związane z wysiłkiem przywoływania treści problematyce epistemologii historii. Pamięć, której się przeszkadza, pamięć manipulowana, pamięć przymuszana — oto pojęcia brzmiące dla historyka jak ostrzeżenia. Właśnie z owych kłopotów, związanych z trudną pamięcią, wynikają ograniczenia historii, lecz także jej metody obrony i sukcesy, warto odnieść je do obszaru problematyki przedstawienia historycznego. W tym momencie mego wykładu chcę jednak ostrzec, że pamięć posiada pewien przywilej, którego pozbawiona jest historia, tzn. przeżywa swoje małe szczęście rozpoznania: Ależ to ona! Ależ to on! Co za nagroda za ogromny wysiłek pamięci! Historia nie przeżywa swego małego szczęścia, a więc kwestie reprezentacji rysują się tu w szczególny sposób; złożone konstrukcje historii muszą zatem stać się rekonstrukcjami po to, by zaspokoić wspomniany już układ prawdy z czytelnikiem. W tym miejscu czuję, że za szybko idę do przodu! Pozwólcie mi odpocząć i skupić się przez chwilę na pewnym fragmencie Bergsona. Znany jest jego obraz stożka przewróconego do góry nogami. W górze, na poziomie podstawy figury, widzimy mnóstwo wspomnień; na szczycie, a więc w dole rysunku, mamy czyste wspomnienie obrazu równego swą intensywnością temu, co żywe i obecne. Oto moment rozpoznania przeszłości w obrazie. Niech ta figura stożka będzie ilustracją problemu, który właśnie przedstawiam. To także stożek skierowany szczytem do dołu. Na górze, tam gdzie podstawa, mamy wstępną aporię pamięci, aporię obecności tego, co nieobecne i wcześniejsze; idąc ku dołowi stożka widzimy trudności pamięci, której się przeszkadza, pamięci manipulowanej i przymuszonej. Na odwróconym szczycie, tam, gdzie stożek pozostaje na poziomie poznania historycznego, mamy małe szczęście rozpoznania, jedyną, choć niepewną gwarancję wierności pamięci. Owo małe szczęście dotyczy historii, która jednak nie może go przeżyć — lecz ów brak pobudza energię jej poszukiwań, jak sugeruje tytuł, który nadał jej Herodot. Pole badań historii, uzupełniające bagaż pamięci, obejmuje odtąd operacje historiograficzne dotyczące całego horyzontu dziejów, od fazy dokumentalnej do fazy pisma. Właśnie u kresu tej drogi wylania się cały skomplikowany problem przedstawienia (*représentation*) historycznego, które w tym miejscu proponuję określić słowem „reprezentancja” (*représentance*), by wyrazić za jego pomocą aktywność o nigdy nie zakończonym skutku, różniącą się od zwodniczego rozpoznania pamięci. Trudności poznania historycznego rozpoczynają się wraz z przełomem spowodowanym przez pojawienie się pisma. W tym sensie historiografia jest właściwym słowem: nie oznacza ono jedynie fazy piśmiennej ani też postawy refleksyjnej,

a więc postawy epistemologicznej drugiego stopnia — lecz pewną całość, którą Michel de Certeau szczęśliwie nazwał operacją historiograficzną. Ze swojej strony podzieliłbym ją na fazę dokumentalno-archiwalną, fazę wyjaśniająco-rozumiejącą (w zależności od różnorodnego użycia klauzuli wyjaśniania) i fazę ściśle literacką lub piśmienną, gdzie kwestia reprezentacji rysuje się najwyraźniej.

I. Rodzaj przedstawienia przeszłości da się przede wszystkim określić przez wstępne, właściwe pismu zachowanie dystansu w stosunku do pola pamięci indywidualnej lub publicznej. Dystans ów staje się jednak dopiero faktem, kiedy powstaje archiwum. Jest ono w istocie *terminus ad quem* złożonej operacji, której *terminus a quo* jest dopiero pierwszą, uzewnętrznioną w formie, opowieścią pamięci w jej stadium deklaratywnym. Ktoś sobie coś przypomina, mówi o tym, opowiada, zaświadcza. Świadek składa pierwszą deklarację: byłem tam. Benveniste zapewnia nas, że słowo *testis* pochodzi od *tertius*: świadek stawia się w pozycji osoby trzeciej wobec uczestników zdarzenia lub w stosunku do akcji i sytuacji, której — jak twierdzi — był świadkiem, niekoniecznie biorąc w niej udział. Owa deklaracja jest zarazem twierdzeniem na temat rzeczywistości faktów uznanych za istotne i zapewnieniem prawdomówności jej autora. Ten ostatni odwołuje się do zaufania osoby, przed którą zaświadcza i która jest odbiorcą jego oświadczeń. Byłem tam; wierzcie mi lub nie — dorzuca; a jeśli mi nie wierzycie, spytajcie kogoś innego. Deklaracja ta otwiera alternatywę zaufania lub wątpliwości. W ten sposób świadectwo daje początek strukturze powiernictwa. Świadek gotów powtórzyć swoje oświadczenie, traktuje je jako rodzaj przyrzeczenia dotyczącego przeszłości. Świadectwo staje się instytucją. Otwiera się możliwość konfrontacji świadectw i począwszy od tego momentu możliwe stają się także spory historyków. Krytyka świadectwa — poza kontestacją — wyznacza miejsce, gdzie historia odkrywa swój sens; jest ono między tym, co określamy jako *dissensus* a jego wartością edukacyjną na płaszczyźnie publicznej dyskusji. Wszystko to pod warunkiem, że istnieje zapis złożony w archiwum. Rzecz zapisana kontynuuje swoją drogę już poza deklaracjami świadków. Z powodu braku wskazanego odbiorcy staje się ona tekstem „sierocym”, o którym wspomina Platon w *Fajdosie*. Jaki by nie był stopień wiarygodności świadectwa, możemy tylko oznajmić, że miało miejsce wydarzenie, którego ktoś — jak twierdzi — był świadkiem. Czy jednak wydarzyło się to właśnie tak, jak on twierdzi? Jest to kwestia zaufania, testu prawdziwości, od którego rozpoczyna się poszukiwanie dowodu dokumentalnego.

Dokumentalny — to słowo z przeszłości. Wiemy, od czasów Marca Blocha, że najważniejsi są zawsze świadkowie. Lecz ich oświadczenia także należą do śladów słusznie nazwanych śladami dokumentalnymi, z których wiele to już wcale nie świadectwa: mam na myśli ruiny, ślady materialne lub abstrakcyjne znaki, takie jak zapis ceny lub dochodu oraz inne *item* powtarzalne lub przeliczalne. Mamy tu do czynienia z tym, co Carlo Ginzburg nazywa „paradygma-

tem indykacyjnym”, który jest wspólny wszystkim dyscyplinom opartym na poznaniu pośrednim i przypadkowym, od medycyny poczynawszy, poprzez psychiatrię, do powieści kryminalnej. W jego ramach rozgrywa się subtelna dialektyka świadectwa i dokumentu, któremu towarzyszą pomniki. W ten sposób dokument staje się jednostką poznania historycznego, zaliczaną śmiało przez Marcą Blocha do dziedziny obserwacji. Z dumą określał on swoją szkołę jako pozytywistyczną, gdy tymczasem byłoby słuszniej nazwać ją szkołą metodyczną. W istocie dokument nie jest dany, lecz poszukiwany, tworzony, konstytuowany; w ten sposób pojęcie to oznacza wszystko to, czego w świetle hipotezy wyjaśniania i rozumienia oczekuje w swych badaniach historyk, by zdobyć informacje na temat przeszłości. Obejmuje ono także zdarzenia, które co prawda nie należały do niczych wspomnień, lecz mogą przyczynić się do konstruowania pamięci, zwanej za Halbwachsem pamięcią historyczną w odróżnieniu od pamięci zbiorowej. Trzeba dać przemówić faktom — nie po to, by je ze sobą mieszać, lecz po to, by je zrozumieć.

Wydaje się zrozumiałe, że historyk, pełen zaufania do prezentowanych przez historię możliwości rozszerzenia, poprawiania i krytykowania danych pamięci, może w stosunku do nauk przyrodniczych przyjąć ton pewności; wiąże się to jednak z ryzykiem redukcji pamięci jako matrycy historycznej do pozycji przedmiotu przypomnienia. Przekonamy się o tym za chwilę.

W czasach dawniejszych, operacja historiograficzna, zatrzymana zazwyczaj w fazie dokumentalnej, musiała przejść test epistemologicznego dowodu; musiała opierać się na zdaniach w rodzaju „X zrobił Y w czasie C w miejscu M”. Zdania te, sztucznie oddzielone, odnoszą się do tego, co można by nazwać faktami bezspornymi, przy czym jest oczywiste, że fakt nie jest samym zdarzeniem, lecz treścią, o której traktują zdania wspomnianego wyżej typu, sformułowane jako dowody na użytek ewentualnych sporów czy potrzeby weryfikacji. Pod tym względem spontaniczna filozofia historyka wywodzi się z krytycznego realizmu, który walczy na dwa fronty. Z jednej strony, historyk zakłada faktyczność zdarzenia, o którym wypowiada się świadek i które odnotowane jest w dokumentach. W tym właśnie przypadku historyk może znaleźć złego doradcę w socjolingwistyce de Saussure’a, która redukuje znak do pary pojęć: znaczący/znaczony, wykluczając referencję. Ratunkiem dla historyka jest raczej lingwistyka dyskursu w stylu Benveniste’a, dla którego jednostką sensu z punktu widzenia mowy jest zdanie, gdzie ktoś coś mówi do kogoś według skodyfikowanych reguł interpretacji. W ten sposób w zasadzie zachowana jest triada: znaczący,znaczony, referencja. Zdarzenie wskazuje ogólne odniesienie do udokumentowanego dyskursu jako rodzaj rezerwy, utworzonej z późniejszej specyfikacji pojęcia zdarzenia w stosunku do struktury i splotu okoliczności. Z drugiej strony, historyk wie, że jego dowód wywodzi się raczej z logiki prawdopodobieństwa niż z logicznej konieczności; owo prawdopodobieństwo nie tyle dotyczy przypadkowego charakteru zdarzeń, ile stopnia wiarygodności świadectwa

i tym samym wszystkich twierdzeń historycznego dyskursu. Jest mniej lub bardziej prawdopodobne, że to lub owo zdarzyło się tak właśnie, jak się twierdzi. Ów probabilistyczny charakter dokumentu jako dowodu, *terminus ad quem* opowieści, jest w ostatecznej instancji wynikiem powierniczej struktury świadectwa, *terminus a quo* całego procesu. Struktura ta może zostać ukryta dzięki zmilczeniom właściwym społecznemu statusowi historii lub za sprawą „miejsca”, z którego mówi historyk. Bez względu na przyczynę, ta struktura argumentacyjna pozostaje nieprzekraczalna. Pod tym względem, słynne dzieło Lorenzo Valli na temat daru Konstantyna, niesłusznie i kłamliwie mu przypisywanego, spowodowało, że historiografia zrobiła decydujący krok. Skądinąd historyk jest jednak świadom, że jego dowody są innej natury niż dowody nauk przyrodniczych. Krytyka świadectwa — choć pośrednia i zależna od okoliczności — pozostaje modelem dla całego pola dokumentalnego wywodzącego się z paradygmatu indykacyjnego.

II. Wydawać by się mogło, że oddalając się obecnie od stadium dokumentalnego historii i zagłębiając się w gęstą materię operacji wyjaśniania i rozumienia, porzucamy kwestie reprezentacji. Czy celem owych operacji nie jest ostatecznie znalezienie dowodu na rzecz odpowiedzi typu „ponieważ...” na pytanie „dlaczego”? Czy problem immanentnego sensu dyskursu i jego długotrwałej spójności nie zajmuje odąd całego ich obszaru? Spróbujmy najpierw owo pole sobie wyobrazić, a następnie skupić się wyłącznie na różnorodności sposobów wyjaśniania w historii. Można by powiedzieć, że historia nie ma swojej metody. Łączy ona w sposób przybliżony pewne zastosowania przyczynowości i teorii praw, najbliższe aktualnym metodom nauk przyrodniczych, jak to widać w szczególności w historii ekonomicznej, ze sposobem wyjaśniania, polegającym na przytaczaniu racji, stosowanym w historii politycznej, wojskowej i dyplomatycznej lub widocznym na poziomie dyskusji między uczestnikami mikrohistorii. W historii nie ma nieredukowalnej dychotomii między wyjaśnianiem a rozumieniem.

Choć zdecydowanie skierowałem mój dyskurs w stronę metod wyjaśniania i rozumienia, problem przedstawiania przeszłości bynajmniej nie stał się mniej widoczny w tej fazie badania historii. Wraca on na pierwszy plan przede wszystkim z powodu wydzielenia swego pola, inaczej mówiąc, z powodu wyodrębnienia *explicandum*, następnie zaś w sposób z pozoru nieoczekiwany, pojawia się jako kwestia uprzywilejowanych przedmiotów historycznej eksploracji, takich jak typy mentalności, które — z powodów, o których za chwilę — same stały się przedstawieniami, a więc przedstawieniami będącymi obiektami historii. Te dwie drogi powrotu zagadnienia reprezentacji mają element wspólny, ponieważ w pierwszym wypadku chodzi o formalne określenie przyszłej referencji dyskursu historycznego, czyli tego, o czym traktuje dyskurs, w drugim zaś — o determinację materialną pewnej warstwy referencji owego dyskursu.

su, czyli o przedstawienie przedmiotów, badanych przez historię, a także o ekonomiczne i polityczne określenie rzeczywistości społecznej.

Zatrzymajmy się przez moment na dwóch aspektach przedstawienia w epistemologii wyjaśniania historycznego. Przede wszystkim wyodrębnienie faktów historycznych dotyczy, jak się zdaje, przedmiotów referencji historii; w ten sposób wszystkie modele wyjaśniające w praktyce badań historycznych jako cechę wspólną mają odwoływanie się do rzeczywistości ludzkiej jako faktu społecznego. Pod tym względem historia społeczna nie jest jednym z wielu sektorów historii, lecz punktem widzenia, który historia obiera jako miejsce obserwacji — punktem widzenia nauk społecznych. Osobiście interesowałem się poglądem, który — już po epoce Braudela — kładł akcent na praktyczne metody tworzenia więzi społecznej i na związane z tym problemy tożsamości. Z tego właśnie powodu przedstawienia umieszczę za chwilę w polu przedmiotów uprzywilejowanych z punktu widzenia historycznych poszukiwań — łącznie z interakcjami. By rzec nieco precyzyjniej, historia tym się zasadniczo różni od nauk społecznych, szczególnie od socjologii, że kładzie akcent na zmianę oraz na różnice i nieregularności owych zmian. Zmiany oraz różnice między nimi zawierają wyraźny wymiar czasowy. Dialektyka struktury i okoliczności zdarzenia jest pod tym względem dobrze znana, podobnie jak badane przez Braudela i jego szkołę hierarchie trwania. W stosunku do żywego doświadczenia, które samo nie tworzy spontanicznie idei różnorodnych trwał czy szczebli trwania, są to z pewnością konstrukcje. W ściślejszym sensie konstrukcją jest korelacja między trzema elementami: istotą rozważanej zmiany — ekonomicznej, społecznej (w ograniczonym sensie słowa), kulturalnej lub jakiegokolwiek innej — hierarchią, według której ją mierzymy, i rytmem czasu właściwym tej hierarchii. Charakter hierarchii jest szczególnie wyraźny w momencie, kiedy pojęcia hierarchii i ich funkcjonowania są szczegółowo analizowane i rozszerzane poza ideę hierarchii trwania: poprzez ideę hierarchii skuteczności i represyjności norm społecznych, aż do hierarchii publicznego prestiżu. Owe konstrukcje uważa się jednak za typowe dla zjawiska, o którym traktujemy, i w tym sensie wszystko o nich można powiedzieć, tylko nie to, że są arbitralne lub fikcyjne. Milcząco zakłada się, że konstrukcje te są rekonstrukcjami historycznej kondycji gatunku ludzkiego, ostateczną referencją badania historycznego, w stosunku do którego interakcje zdolne do tworzenia więzi społecznej są następną referencją. Tak więc na tym pierwszym formalnym poziomie wyodrębnienia obiektów referencji milcząco założona jest idea przedstawienia przeszłości.

Jest ona także założona wyraźnie — jeśli można tak rzec, materialnie (lub substancjalnie) — ponieważ historia obiera za jeden ze swych uprzywilejowanych przedmiotów reprezentacje, jako w istocie uprzywilejowaną referencję, obok pola ekonomii, życia społecznego i polityki. Jak wiadomo, temat ten jest najpierw zaproponowany, potem zaś wręcz narzucany jako hasło badania historii mentalności — aż do momentu, kiedy zaczęto mu zarzucać płynność, niejed-

noznaczność, mglistość, a przede wszystkim niejaki kompromis z pojęciem mentalności prymitywnej, odziedziczonym po Lévy-Bruhlu. Właśnie w tych warunkach idea przedstawienia mogła zastąpić pojęcie mentalności, ryzykując jednak nową wieloznaczność; idea reprezentacji mogła oznaczać w jednej skrajnej wersji stosunek pamięci do przeszłości pod postacią obrazu-wspomnienia; w drugim rozumieniu skrajnym, ku któremu zdążamy, reprezentacja obejmowałaby stosunek historii do przeszłości — krótko mówiąc samą intencjonalność dyskursu historycznego. Owo użycie pojęcia reprezentacji, które miało oznaczać wierzenia i normy nadające artykulację symboliczną tworzeniu się więzi społecznej i tożsamości, charakteryzowane jest sprzężeniem z interakcjami obszaru społecznego. Pod tym względem można mówić o praktyce przedstawienia, co pozwoli rozszerzyć na symboliczne pole działania to, co osiągnęliśmy dzięki pojęciu gry hierarchii, cytowanym wyżej. Przede wszystkim jednak możliwe staje się skorzystanie z idei społecznego przedstawienia rozróżnień, wypracowanych na płaszczyźnie ogólnej semiotyki reprezentacji, np. różnicy między reprezentacją nieobecnego lub śmierci, z jednej strony, i żywej obecności aktualnego obrazu — z drugiej, jak widać to w analizach Louis Marina, krążących wokół tematu Portretu Króla. Ta wymiana między semiotyką reprezentacji i historią reprezentacji społecznej, szczególnie w dziedzinie władzy, okazuje się niezwykle płodna dla wszystkiego, co dotyczy „siły obrazu”, by posłużyć się tytułem ostatniego dzieła Louis Marin’a.

Nie opuszczajmy tego obszaru reprezentacji-i wraz z nim fazy wyjaśniająco-rozumiejącej zanim nie umieścimy w nim historii pamięci, jako w ścisłym sensie prywatnego lub publicznego przedstawienia przeszłości; nie moje, nie nasze przedstawienie, lecz przedstawienie zobiektywizowane, należące do wszystkich, których jesteśmy częścią — a więc reprezentacja przeszłości jako przedmiot historii. Dołączmy do tej specyficznej historii historię lektury i skutków lektury spowodowanych w obecnych czasach zmianami umożliwiającymi reprodukcje tekstów — z rewolucją elektroniczną włącznie. Chce się tu zatrzymać, jeśli chodzi o kwestie reprezentacji, owego przedmiotu, który jest ulubionym pożywieniem historii.

III. Opuszczając jałowy teren ograniczeń, które narzucają swą własną, zadziwiająco zróżnicowaną, ideę spójności dyskursowi historycznemu, przechodzimy do dziedziny konfiguracji narratywnych i retorycznych, które organizują literacką fazę historiografii. Właśnie na tym poziomie skupiają się największe trudności dotyczące przedstawienia przeszłości w historii. Zapis historii nie dodaje się jednak w sposób prosty do innych operacji historiograficznych: towarzyszy on każdemu z etapów, tak jak one wywodzą się wspólnie z ogólnej kategorii inskrypcji (zapisu). W chwili obecnej interesuje nas w szczególności pismo jako element, który powoduje, że tekst historyczny na żądanie czytelnika staje się widoczny i czytelny. Pakt lektury, o którym wspominałem wcześniej,

staje się tu oczywisty; wraca więc początkowe pytanie ze zdwojoną siłą: czy układ ten został dotrzymany? Czy można go w ogóle dotrzymać?

Główna trudność wywodzi się stąd, że konfiguracje narratywne i retoryczne są ograniczeniami lektury. Kształtując czytelnika, bez jego wiedzy, mogą odgrywać podwójną rolę: mediacji, w istocie zmierzającej do ujawnienia rzeczywistości historycznej, i zasłony, celowo przeciwstawiającej swą nieprzejrzystość rzekomej przejrzystości mediacji.

W ten sposób na pierwszy plan wysuwają się znaki literackie. Mam tu na myśli przede wszystkim konfiguracje narratywne, na których skupiłem moją uwagę w *Temps et récit*. Od tego czasu obawa przed pomieszaniem spójności narratywnej z pokrewieństwem sposobów wyjaśniania doprowadziła mnie do wniosku, by odłożyć omawianie narracji historycznej do momentu zajęcia się znakami literackimi. Ta niewielka zmiana kierunku analizy odegra pewną rolę w mej reakcji na próby zatarcia granicy między fikcją a historią. Z pewnością nadal sędzę, że to, co narracyjne, nie graniczy z tym, co dotyczy samego zdarzenia, lecz jest z nim koekstensywne na wszystkich poziomach wyjaśniania i we wszystkich grach hierarchii trwania. Kody narratywne nie zastępują jednak sposobów wyjaśniania, lecz dodają do nich wspomnianą wcześniej klauzulę widoczności i czytelności. Zajmiemy się w tej chwili właśnie szczególnymi trudnościami, spowodowanymi ustanowieniem siatek pisma, które stały się ukrytymi siatkami lektury. Jeśli jest prawda, że struktury narratywne nie tworzą sobie ograniczeń po to, by zapewnić przejście od dyskursu do jego referencji, lecz przeciwstawiają swoją własną nieprzejrzystość widoczności referencyjnej dyskursu historycznego, przywilejem semiotyka staje się ujawnienie ograniczeń, które mogły kierować pisarzem w jego prezentacji faktów. Kusi więc domniemanie, że te same ograniczenia, które czytelnik przyjmuje bezwiednie, chwytają go w pułapkę naiwnej wiary, iż tenże semiotyk jest jedyną osobą mogącą je zdemaskować. Znamy problem „efektu tego, co rzeczywiste” i „iluzji referencyjnej”, wymyślony przez semiotykę strukturalną wspomnianej wyżej lingwistyki de Saussure’a, gdzie referencja jest z zasady wykluczona ze struktury binarnej znaczenia, zredukowanego do pary znaczący/znaczony. Jest to „podejrzanie” rzucone na plan narratologii przez tę szkołę semiotyczną, i zarazem argument antyreferencyjny, który został z niego przeniesiony na grunt historiografii.

Problem ograniczeń ujawnił się w całej okazałości w trakcie analizy retorycznej dyskursu historycznego i doprowadził do otwartego ataku na to, co wcześniej nazwałem realizmem krytycznym, przyjętym przez większość zawodowych historyków bez próby porządnej problematyzacji. Konfiguracje narratywne w ścisłym sensie, wywodzące się z typologii treści (intryg), zostały więc włączone w złożoną architekturę kodów, obok tropów i innych figur dyskursu i myśli. Wszystkie te figury traktuje się jako ukryte struktury wyobrażenia, które obejmuje całą klasę „fikcji słownych”. Wyrafinowane dzieło Haydena White’a jest najlepszym tego przykładem. W każdym razie jego niszczące możliwości,

skierowane przeciwko historycznym przekonaniom, osiągną swój cel dopiero wraz z szerszym ruchem, znanym jako „postmodernizm”, gdzie racjonalność historii jako nauki została poddana wstrząsom; podważyły one przekonania odziedziczone po epoce Oświecenia, a uznawane za kryterium nowożytności. Oto samoświadomość każdej epoki, która ujawnia się przy okazji dyskusji wokół prawdy historycznej.

Rozważania, którym groziło zagubienie się w ideologicznych sporach bez wyraźnego kryterium — sama idea kryterium jest już problematyczna — znalazły się na płaszczyźnie konfliktu interpretacji dotyczącego poznania historycznego dzięki ściśle określonej debacie; chodziło o recepcję książek na temat „ostatecznego rozwiązania”, głównie o dzieło zbiorowe, zatytułowane *Historikstreit*, poświęcone sporowi niemieckich historyków na ten temat. W centrum zainteresowania przestały już być niekończące się dyskusje na temat postmodernizmu, natomiast znalazła się tu sprawa tyleż przerażająca, co konkretna: w jaki sposób można mówić o zjawisku Holocaustu, Shoah — tym najważniejszym wydarzeniu XX wieku? Kwestię tę można podzielić na dwa pytania, wywodzące się z dwóch przeciwnych perspektyw: pierwsze postawili wielcy mistrzowie podejrzeń, pod hasłem iluzji referencyjnej, drugie zostało zadane przez negacjonistów, kierujących się hasłem oficjalnego kłamstwa.

Z konfrontacji tej zdaje sprawę dzieło Saula Friedlandera o istotnym tytule: *Probing the Limits of Representation*. Jest to jedyne dzieło, które chcę tu przedstawić ze względu na jego wyjątkowe znaczenie dla problematyki tej konferencji. Friedlander stwierdza: „Eksterminacja Żydów europejskich, jako skrajny przypadek zbiorowej zbrodni, powinna stanowić wyzwanie dla teoretyków relatywizmu historycznego; powinni zrewidować przesłanki swych stanowisk formułowanych na poziomie abstrakcji” Zapytany o zdanie, H. White odważnie stawiał czoło temu wyzwaniu, powtarzając swą argumentację i twierdząc, że jego retoryka tropologiczna nie daje mu żadnego immanentnego dla dyskursu kryterium, które pozwoliłoby odróżnić rzeczywistość od fikcji. Odróżnienie to — zgodził się — powinno znaleźć swą podstawę „w innej sferze naszych zdolności receptywnych niż te, które nabyliśmy poprzez naszą kulturę narratywną”. Po czym ponownie zasugerował, by rozszerzyć pole sposobów reprezentacji poza dziedzictwo kulturalne, którego trwaniu tak dalece zagroził totalitaryzm.

Bez względu na to, jak słuszna jest to opinia, znajdująca zresztą swoje echo w próbach odnowienia form ekspresji, wynikłych z odrzucenia znanych form mediacji, pozostawia ona bez odpowiedzi fundamentalne pytania o adekwatność form wyrazu estetycznego, które miały przedstawiać Shoah. Jeśli twierdzi się, jak czyni to G. Steiner, że „świat Auschwitz znajduje się poza wszelkim dyskursem, ponieważ znajduje się on także poza rozumem”, to skąd w dyskursie ma pochodzić sens tego, co nieprzedstawialne? Właśnie o sile świadectwa, nawet jeśli jeszcze nie jest ono zapisane w archiwum, mówi Carlo Ginzburg w swym patetycznym eseju *Just One Witness!*. Owo świadectwo odwołuje się

do gwałtowności samego zdarzenia i przypisuje mu aspekt moralny, co Friedlander — stosując *litotes* — określa jako niedopuszczalne. Żywe doświadczenie rany, zadanej samemu procesowi „tworzenia historii”, staje się jednak zewnętrznym ograniczeniem przedstawienia, powodując wewnętrzną implozję sposobów reprezentacji — narracyjnych, retorycznych i innych (m.in. filmowych). Kategoria analityczna „zdarzenie graniczne...”, to cios zadany pamięci indywidualnej i prywatnej przez prawdziwą historię; cios, który — jak w brutalnych przygodach tragedii greckiej i elżbietańskiej — zdominował referencję „opowiadania historii”. Fakt, że to, co przerażające, stało się negatywem symetrii w stosunku do tego, co przyjemne, sam jest okropieństwem, o którym trzeba opowiadać, by go nie zapomnieć. A częścią tego zdarzenia są stanowiska jego uczestników na ten temat: katów, ofiar i świadków. Trzy rodzaje żywej historii, z których żaden nie może dokonać podsumowania. Nie można jednak dopuścić, by to nowe onieśmienie historyków, związane z ogromem wydarzenia i falą żalów, sparaliżowało refleksję nad istotą operacji historiograficznej. Do sędziego należy skarżyć i karać, a do obywatela — walczyć z zapomnieniem; rzeczą historyka jest zrozumieć, a nie oskarżać lub uniewinniać.

Jeśli przyjmiemy to założenie, warto, by przypadki graniczne pobudziły nas do rozważenia problematyki wynikłej z analizy retorycznej dyskursu. Dyskusja może pójść w dwu kierunkach: zgodnie z nurtem tekstu, od strony jego recepcji przez czytelnika, lub drogą wstecz, poprzez badanie wcześniejszych faz procesu historiograficznego.

Jeśli chodzi o recepcję tekstu historycznego, czytelnik wyprzedza ją nie tylko oczekiwaniami (między innymi nie chce, by mu „opowiadano nieprawdę”), lecz także doświadczeniem historii najnowszej. Jest on chętnym odbiorcą dyskursu przybierającego kształt spotkania przeszłości z teraźniejszością. Ściślej biorąc, to właśnie obywatel przemawia głosem aktywnego uczestnika historii, domagającego się od historyka prawdziwego dyskursu, który można poszerzyć o krytyki, w tym o krytyki świadectwa pamięci. Zamiast prawdziwego dyskursu, w sensie, w jakim pojęcie to występuje w naukach szczegółowych, mamy więc dyskurs, którego podstawą jest intencja prawdziwości.

By właściwie ocenić ową intencję prawdziwości, trzeba cofnąć się od piśmiennej fazy poznania historycznego do faz wcześniejszych: eksplikacyjno-rozumiejącej i dokumentalnej. Zwykle traci się to z pola widzenia podczas dyskusji skupionych na retoryce dyskursu historycznego. Błędem jest tu oczekiwać od narracyjności i tropologii, że wypełnią one braki argumentacji, wyjaśniającej przyczyny związków między stwierdzonymi faktami. Pod tym względem nie rozgrywa się na płaszczyźnie pisma czy na płaszczyźnie wyjaśniająco-rozumiejącej: należy wrócić do dowodów dokumentalnych, nawet gdyby trzeba było jeszcze raz przejść w porządku progresywnym cały łańcuch operacji historiograficznych. Wydaje się więc, że przekonywanie czytelnika nie należy do obszaru retoryki. Jest miejscem krzyżowania się opinii i upodobań uczestników

dialogu; poznaliśmy różnice między nimi śledząc spory Sokratesa z sofistami. W tym miejscu logika konkretnych prawdopodobieństw, budząca taki poziom zaufania, jak to jest możliwe w naukach humanistycznych, podporządkowuje sobie analizy, mające służyć za dowód podejrzeniom. Nie po to, by jeszcze bardziej zmętnić granice między fikcją i rzeczywistością — nawet gdyby nią było to, co nieobecne w historii — lecz by uchwycić akcję przekonywania w jej zaśliskościach, w taki sam sposób, jak czynił to Platon w dialogach sokratejskich, próbując odróżnić medycynę od kosmetyki.

Zbliżając się do konkluzji, wracam do mego wstępnego pytania: Czy jesteśmy w stanie dotrzymać paktu lektury, któremu ma służyć historyczny zapis, a jeśli tak, to do jakiego stopnia? Słuchacze nie będą zapewne zdziwieni, jeśli odpowiem: tak, do pewnego stopnia. By nie uznać mej odpowiedzi za brawurę lub wykręt, muszę przytoczyć argumenty na rzecz tej tezy.

Odpowiedź «tak» oznacza przychylenie się do intencjonalności regulującej badanie historyczne: zmierzamy do pewnego zdarzenia i, jeśli można tak rzec, oczekujemy go. W *Temps et récit* zaproponowałem pojęcie reprezentancja, by podkreślić aktywną stronę tej intencji-dążenia. Słowo to ma sugerować zarazem ideę zastąpienia i ideę przybliżenia. Termin «zastąpienie», w terminologii łacińskiej *repraesentatio*, odnoszony był do epoki helleńskiej, później zaś do bizantyjskiej, na oznaczenie funkcji osoby powołanej do tego, by reprezentować nieobecnego suwerena; w analogiczny sposób funkcję namiestnika kościelnego czy porucznika określa niemieckie *Vertretung*. W języku angielskim odnajdujemy słowo *representative* i przede wszystkim w języku francuskim mamy takie pojęcia, jak „reprezentanci ludu” i „reprezentacja narodowa”. Funkcja namiestnika musi być więc uzupełniona przez funkcję przybliżającą przedmiot zastępstwa: jest to właśnie strona aktywna intencji, dociekania, wybiegania w przyszłość.

A więc kontrakt między historykiem a czytelnikiem jest dotrzymany. W jakim jednak stopniu? Na pytanie dotyczące stopnia prawdziwości lub prawdopodobieństwa tekstu historycznego możemy odpowiedzieć tylko w sposób porównawczy. Co jednak z czym należy porównać? Widzę dwie możliwe odpowiedzi.

Pierwsza z nich sytuuje się jeszcze w samym polu historycznym: jest to porównanie między dwoma lub wieloma tekstami dotyczącymi tego samego *topos* [miejsca — przyp. tłum.]. Proponuję tu jako punkt odniesienia moim zdaniem zadziwiająco odkrywczy fakt ponownego zapisu historycznego. Napisać ponownie to tak, jak ponownie przełożyć. W ponownym tłumaczeniu tych samych tekstów oryginalnych kryje się — jak sądzi Antoine Berman — pragnienie lepszego przekładu i bez wątpienia także niejaka udręka i przyjemność. Podobnie w ponownym pisaniu historii widać pragnienie historyka, by zbliżyć się coraz bardziej do owego dziwnego oryginału, którym jest zdarzenie we wszystkich swoich postaciach. Także analiza prawdy nie tylko w jednym dziele, lecz, oś-

mieję się twierdzić, w całym *dossier* sporów wokół owego zdarzenia. Niech za przykład posłuży rewolucja francuska i cała obszerna bibliografia na jej temat.

Druga odpowiedź, dotycząca sądu porównawczego, wykracza poza historię w stronę relacji między historią a pamięcią. Chciałbym zakończyć tą właśnie konfrontacją, ponieważ pozwoli ona połączyć mą tezę końcową z tezą początkową, głoszącą, że problem reprezentacji przeszłości zaczyna się nie od historii, lecz od pamięci. Nie chodziło wyłącznie o zagadkę aktualnego przedstawienia rzeczy nieobecnej, która istniała przedtem, tzn. zanim stała się przedmiotem opowieści; chodziło tu także o zarys rozwiązania, choć niedoskonałego i niepewnego, owej zagadki, rozwiązania nie mającego swego odpowiednika w historii — mianowicie o owo małe szczęście, mały cud rozpoznania, wsparty chwilą intuicji i bezpośredniego przekonania. W historii nasze konstrukcje są w najlepszym razie rekonstrukcjami. Właśnie takie rekonstrukcje są przedmiotem naszej intencji, dążenia, pragnienia; musimy zatem badać stopień ich wiarygodności łącząc interpretację z intencją prawdziwości. Zakładać i ustanowić solidarny związek interpretacji z prawdą w historii, to więcej niż po prostu dodać obiektywność do subiektywności, jak sądzono do niedawna. Jeśli nie chcemy jedynie psychologizować lub moralizować intencji historycznej, podkreślając, na przykład, interesy, uprzedzenia, osobiste uczucia historyka lub — przeciwnie — szanując jego cnoty uczciwości i skromności, a nawet uległości — trzeba podkreślić epistemiczny charakter interpretacji: jej zdolność wyjaśniania pojęć i argumentów, troskę o to, by porzuciwszy wcześniejsze stanowisko postawić właściwe pytanie pod adresem dokumentu, wybierając raczej ten schemat wyjaśniania niż inny, język przyczyny lub racji działania, lub skłaniając się do tej raczej gry językowej, a nie do innej. Interpretacja szuka więc prawdy historii na wszystkich szczeblach operacji historiograficznej. A wszystko to ma związek z wiernością pamięci.

Jest to cena płacona przez historię za jej ambicję, by łańcuchem kolejnych mediacji wyrównać brak owego zjawiska rozpoznania, które powoduje, że to pamięć staje się matrycą historii, nawet jeśli jest jednocześnie jednym z przedmiotów jej analiz.

Pozostaje więc otwarta kwestia współzawodnictwa między pamięcią i historią w przedstawianiu przeszłości. Pamięć ma przewagę rozpoznania przeszłości, jako czegoś, co było, choć już nie istnieje. Historia jest w mocy rozszerzyć swe spojrzenie w przestrzeni i w czasie. Znamy możliwości jej krytyki świadectw, sposobów wyjaśniania i rozumienia; jej panowanie nad retoryczną stroną tekstu i — przede wszystkim — umiejętność słusznego rozsądzenia konkurujących ze sobą roszczeń pamięci głęboko zranionej i czasem ślepej na nieszczęścia innych. Osąd pierwszeństwa między wiernością pamięci i układem prawdy jest *a priori* nierozstrzygalny. Dyskusje tę może przeciąć tylko czytelnik i drzemający w nim obywatel.

Przekład Joanna Górnicka